

Adam RODZIŃSKI

PLURALIZM, ALE JAKI?

Trzeba dobrego rozeznania w zakresie wartości, jakie nadają życiu ludzkiemu właściwy, pełny, formalnie „ludzki” kształt i sens [...]. Zakłada to jednak trud poznawania siebie, własnych słabości i słabostek przede wszystkim. Nie wszystko na świecie jest z Ducha Bożego, zdrowy zaś pluralizm nie polega na faworyzowaniu wszelkich propozycji dlatego tylko, że są różnicami; jest hodowaniem przystłowiowych „stu kwiatków”, ale nie pielęgnuje „kwiatów zła”.

„Zmierzch Zachodu”, obwieszczony pod koniec pierwszej wojny światowej przez Oswalda Spenglera – wbrew racjom zdającym się uzasadniać ponurą tę diagnozę i prognozę – szczęśliwie nie nastąpił. W latach trzydziestych zrobiło się za to nagle dość ciemno w samym środku Europy, gdy równocześnie noc głęboka zadomowiła się na Wschodzie. Tak oto historia lubi płatać figle historiologom, nie tylko optymistom przesadnym, ale i pesymistom – w każdym razie wszystkim tym, którzy spoglądają na jej nurty jednym okiem. Znana to zresztą prawda, że łatwiej nam dostrzec to, co zobaczyć chcemy.

Kulturowo-dziejowy rozwój ludzkości z całą pewnością jest ambiwalentny. Stanowi to chyba jedyną prawidłowość, jaka o całym tym procesie bezspornie da się orzec, również gdy chodzi o jego ekstrapolacje przyszłościowe. Konstatacja taka nikogo jednak nie uczyni mądrym: sprawdza się zawsze, z tym, że w postaci trudnej do przewidzenia, czy wręcz zaskakującej najbardziej nawet wytrawnych prognostów i futurologów.

Cywilizacja Morza Śródziemnego od najdawniejszych czasów nosiła w sobie zarodki spustoszenia moralnego i rozkładu, nosi je również dziś – a jednak jakoś nie ginie. Przeszczepiona do obu Ameryk staje się coraz bardziej „atlantycka”, lecz mimo to pozostaje sobą i nadal trwa w ekspansji, również w kierunku na wschód od swoich europejskich peryferii. Zmienny „duch czasu” zapisał się w jej dziejach przeobrażając dość gruntownie jej treść. Pozwala to na wyodrębnienie w niej szeregu formacji o różnej aksjologicznej dominancie. Najwidoczniej cywilizacja ta – rozumiana jako wielka familia kultur narodowych (w tym i naszej ojczystej kultury) – nie ma jakiejś jednej i jedynej „duszy”, która wypowiedziawszy w toku dziejów całą swoją rolę może już tylko opuścić swoje „ciało”, skazując je na całkowite rozprzężenie, entropię i śmierć. Bez wątpienia coś takiego jednak w cywilizacji naszej tkwi, co gwarantuje nie tylko zdumiewającą żywotność, ale i podstawową jej tożsamość; ale to „coś” okazuje się bez porównania bardziej pla-

styczne niż forma substancjalna biologicznego organizmu i – jak się rzekło – nie musi to być wcale czymś jednym, czymś, co jest jednolite samo w sobie. Mogą to bowiem być – a wszystko wskazuje, że tak jest istotnie – różne, z tym, że pokrewne sobie i uzgodnione z sobą, inspiracje i potencjalności dochodzące do głosu kolejno, w ślad za zmieniającymi się warunkami życia i rozwoju.

Przyjąć by więc raczej należało, że jakiś pluralizm fundamentalny tego właśnie typu wpisany został w cywilizację śródziemnomorsko-atlantycką na samym jej początku i on to właśnie raz po raz ożywia i stymuluje całą jej dynamikę, a więc i uniwersalistyczne aspiracje, tłumaczy też w znacznym stopniu uzyskiwane przez nią zdobycze: sukcesy technologiczne i techniczne, i równie pokaźne duchowe osiągnięcia. Ważna to jest, jak się wydaje, okoliczność dla przyszłości świata. Problem stopniowego konstytuowania się cywilizacji czy „supercywilizacji” ogólnoplanetarnej przy tym stanie rzeczy nie okazuje się bowiem „kwadraturą koła”, jak się to niektórym myślicielom wydaje, a w każdym razie dawniej i do niedawna wydawało.

Dwie zasadniczo różne drogi obiecują doprowadzić do cywilizacyjnego pojednania i zjednoczenia świata. Jedna polega na odseparowaniu od życia publicznego, możliwie totalnym „wzięciu w nawias” różnic obyczajowo-religijnych i światopoglądowych, jakimś więc indyferentnym „wyciszeniu” ich niejako i unieważnieniu przez odpowiednio szeroko spopularyzowane i rozpropagowane przekonanie o nieosiągalności obiektywnie ważnej prawdy ideowej. Życie publiczne nie jest jednak sektorem życia ludzkiego dającym się oddzielić, lecz jego aspektem; jeśli ulega gdzieś dewiacjom i wynaturzeniom, to nigdy wyłącznie w zakresie pragmatyki własnej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że wszystkie istotne źródła tego rodzaju trendów czy syndromów tkwią w prywatnym życiu jednostek. Tak więc generalnie orientacja na „czystą faktyczność” rozumianą empirycystycznie, oparcie się na tym tylko, co do czego powszechny consensus można z góry przyjąć jako zapewniony, pozostawiłoby jednostkę ludzką w spłaszczonym, pustynnym krajobrazie, bez busoli, zdezorientowaną w sprawach żywotnych jak najbardziej, choćby co do tego, kim naprawdę jest i co to w ogóle znaczy, że jest kimś. Wszelkie przeświadczenie na ten temat, choćby kiełkujące w czyjejś głowie, jawić się przecież musi w tej optyce a limine jako niepewne, więc nieprawomocne. Zresztą gdziekolwiek i kiedykolwiek – obojętne, czy w życiu publicznym, czy prywatnym – człowiek człowieka traktuje „po ludzku”, czyli z elementarnym kredytem zaufania, z podstawową afirmacją i nadzieją na obopólne porozumienie, tam już do głosu dochodzi najwyraźniej opcja na rzecz „ideowej” prawdy o człowieku, warunkującej zaistnienie takiej właśnie „postawy wyjściowej”, nacechowanej załączkowym choćby tylko poczuciem jedności. Ta pierwsza droga wydaje się więc tylko prosta, obiecująca i praktyczna, w gruncie rzeczy zaś prowadzi donikąd.

Druga droga polega na opowiedzeniu się za wszystkim tym, co w samej koncepcji człowieka przemawia za afirmatywnym zasadniczo charakterem wzajemnej wobec siebie obecności i koegzystencji jednostek ludzkich. Prawda ideowa o naszej wspólnej i priorytetowo miarodajnej dla postępowania godności osobowej nie jest mrzonką: działa w nas długo, zanim jesteśmy w stanie ją skonceptualizować, uściślić w refleksji. Problematyka generalnych uzgodnień w zakresie form i norm ludzkiego życia i współżycia otwiera się w ten sposób na nadzieję, zwłaszcza na oczekującą pomocy od Boga nadzieję chrześcijańską.

Na ile cywilizacja, do jakiej należymy, jest chrześcijańska, a na ile nie jest – to temat dyskusji, zresztą permanentnej: chór wieków, bieżące tempo dnia, muzyka przyszłości – splatają się tu w jedno jakby pasmo. Optymistyczną, podnoszącą na duchu wiarę w opatrnościowe interwencje Boga, w ostateczne zwycięstwo dobra i trwałość ludzkich dusz zawdzięcza nasza formacja cywilizacyjna oczywiście chrystianizmowi; zapewnia to jej zdrowy, realistyczny dystans wobec tego, co przemijające, właściwy stosunek do wielkich spraw cierpienia i śmierci, umacnia w niej gotowość do ciągłych poszukiwań, niezmordowanego rozglądania się za tym, co przyroda ma jeszcze do przekazania człowiekowi, dla którego dobra ukonstytuowana została w swoim własnym bycie. Niejedna co prawda już cywilizacja rozkrzewiona bujnie przed wiekami i kwitnąca przez długie wieki zeszła ze sceny świata, niektóre schodziły z niej tragicznie, rozbijane z zewnątrz. Jaka jest sytuacja nasza pod tym względem? Czy nam coś zagraża?

Cywilizacja islamu, z którą graniczymy od południowego wschodu i południa, też nie jest pozbawiona swoistego, groźnego dawniej dla nas dynamizmu, dziś jednak osłabionego znacznie i kierowanego raczej w inną stronę, jakkolwiek uspokajający ten stan rzeczy zakłócić mogą w przyszłości procesy demograficzne lepiej rokujące dla islamu. W ciągu kilku ostatnich stuleci rozrosła się i spotężniała na wschód od naszych granic i pogranicznych peryferii wielkoruska hybryda cywilizacyjna, mongolsko-bizantyjska co do swej genezy, zachowująca do tej pory – mimo klęsk i kataklizmów – podziwu godną trwałość. Wcale też nie jest pewne, czy idea „samodzierżawia”, jaka ją zespala, wyzbyła się już całkowicie zdolności do dalszych odrodzeń i metamorfoz. I ta cywilizacja ma jednak dziś kłopoty własne, a zapewne mieć je będzie długo. Sięgająca niedawno wpływami swymi aż po Łabę, dzisiaj jest w odwrocie, chociaż zdążyła się wpisać i na tym swoim zachodnim, *venia verbo* „misyjnym terenie w niektóre zwyczaje i obyczaje, instytucje życia publicznego, zwłaszcza w niejedną normę stanowionego w „minionych okresach” prawa. A pamiętajmy, że o publicznym stylu życia określającym w każdej cywilizacji jej wewnętrzny ład i kształt decyduje przede wszystkim prawo.

Cywilizacje – podobnie zresztą jak poszczególne kultury narodowe – nie tylko umierają powoli lub gwałtownie, ale oczywiście i chorują na swój wła-

sny sposób; popadanie w nieprzeliczone słabości i niedyspozycje to ich los raczej permanentny, poniekąd więc normalny. Nadwątłająca się okresowo zwartość ich w ogóle bardzo luźnej, bo ponadbiologicznej treści może jednak w sprzyjających warunkach stawać się dezintegracją pod każdym względem, albo przynajmniej w ostatecznym jakimś rozrachunku, pozytywną – tak, że niełatwo wówczas orzec, co jest dla nich „zdrowiem”. Wolno się też pocieszać, że te żyjące własnym – przynajmniej do pewnego stopnia – życiem obszerne „niby-organizmy” (boć nie mechanizmy przecie) nie tylko tracą coś w wyniku takiej czy innej infekcji, ale i zyskują niekiedy na zetknięciu z tym, co dla nich obce i wrogie; nauka o zapobiegawczym, leczniczym, uodporniającym i stymulatywnym oddziaływaniu chorób i w tej materii kiedyś pewnie się utworzy. Tolerancja na „zło” – natury biologicznej czy moralnej – w różnych ustrojach czy quasi-ustrojach (fizycznych czy duchowych) bywa oczywiście różna: nic przeto dziwnego, gdy jakiś całkiem analogicznie niefortunny zbieg okoliczności jedne z nich potrafi pobudzić i dodać im wigoru, inne zabić czy chociażby tylko przejściowo obezwładnić.

„System systemów”, jakim jest cywilizacja, a na swój sposób również każda kultura narodowa, stanowi zawsze jakiś dający się z grubsza określić i zidentyfikować konglomerat świadomie przez człowieka wytwarzanych warunków i współczynników kształtujących jego sposób bycia, modulujących przebieg zarówno fizycznego, jak i duchowego dojrzewania w skali indywidualnej i zbiorowej. Taki zespół „modyfikatorów” o proveniencji intelektualnej wpisuje się w poszczególne czynności ludzkie i wytwory. Tym samym we wszystko to, przez co osoba ludzka ustosunkowuje się – pośrednio czy bezpośrednio, jawnie czy implikatywnie – do tych wartości i sił, jakimi zawładnąć może w swoim dalszym czy bliższym otoczeniu, jak również do takich mocy i wartości, prawd i praw, z jakich czerpie elementarny swój byt i definitywną rację tego bytu, jakim więc słusznie czuje się podporządkowana w zakresie całej swojej ogólnozyciowej aktywności. Prymatowi wartości moralno-religijnych towarzyszy tu z natury rzeczy priorytet wartości poznawczych, wysiłków i osiągnięć intelektualnych, niczego bowiem pragnąc ani realizować nie możemy w integralnie „ludzkim” sensie, czegośmy wprzód nie poznali dostatecznie, zanim zrozumieliśmy zarówno ontologiczną, jak i aksjologiczną istotę tego czegoś. Dopiero na tym gruncie wybór nasz, opowiedzenie się za czymś i przeciwko czemuś, naprawdę jest wyborem.

Niemniej poznać, a nawet poznać i uznać – to jeszcze nie wszystko. Nad metropoliami Europy krzyż na wieżach kościołów wznosi się wysoko, lecz jego wartość zbawienna w codzienny kształt życia przenika słabo. Żeby nie mieć co do tego wątpliwości, wystarczy zaobserwować, za czym się ludzie uganiają, co mówią, rzucić okiem na ogłoszenia i wystawy. Gdzież tu miejsce na powściągliwy dystans wobec natychmiastowych, doraźnych zaspokojień, miejsce dla Boga? Oczy i uszy ludzi po wielkomięjsku ucywilizowanych

szturmuje dzień w dzień mnóstwo znaków niosących wielość informacji nie tylko informujących (czy dezinformujących), ale i formujących umysłowość, wrażliwość, cały wewnętrzny świat: człowiek osobowościowo staje się z wolna tym, co konsumuje. Społeczności, która zarówno literaturę starogrecką, jak i rzymskie prawo uważa jednakowo za swą dziedziczną własność, inwazja z zewnątrz raczej już nie grozi; stale natomiast – jak już dawno zauważono – zagraża jej „margines wewnętrzny”, rebelia bezustanna prymitywnych „mas” – po prostu chamstwo.

Nie bądźmy elitarystami i przyznajmy szczerze, że nasze „życie na szczycie”, coraz bardziej zapatrzone na zachodnie wzory, przedstawia się również niewesoło. W bogactwie ofert gubimy się zresztą wszyscy. „Niosący światło” duch zakłamania i zemsty „krąży, szukając, kogo by pożarł”, przemawia swobodnie, pełnym głosem. Z natury rzeczy pojawić się tu więc musi pytanie o rozsądnie zakreślone granice tolerancji: czy i jak (tzn. w oparciu o co) można względnie należy ustalać je i uzgadniać? Czy może nam w tym względzie okazać się pomocna – podatna przeciw na różne interpretacje – generalna intuicja „człowieczeństwa”? Zapewne tak, jeśli tylko dobrze zrozumie my treść tego pojęcia, jego głębokie aksjonomiczne implikacje, ujawniające się w nim w całej pełni dopiero po przeniesieniu go z języka potocznego w język uściślony. Wskazać by tu więc przede wszystkim należało na osobową godność ludzką jako na autentyczne kryterium godziwości i niegodziwości, moralnej dopuszczalności i niedopuszczalności czegokolwiek. Niemniej jednak i to, co moralnie jest nie do przyjęcia, dopuścić czasem trzeba – przynajmniej do głosu – w szczególności wszędzie tam, gdzie buszowanie po pszenicy w poszukiwaniu kłokolu spowodować by mogło dużo większą szkodę, w tym również moralną.

Jak to pięknie powiedział Horacy: „est modus in rebus, sunt certi denique fines”. Skoro granice takie, „poza którymi nie może ostać się, co prawe”, istnieją rzeczywiście, dadzą się jakoś wytyczyć i w tej trudnej materii, czy raczej w całej plejadzie problemów znacznie samą swą istotą różniących się tu od siebie. Cywilizacje i kultury narodowe winny pamiętać, że nie są nieśmiertelne. Wystarczy więc tylko chcieć, ale chcieć energicznie i naprawdę szukać takich granic; z tym chceniem jednakowoż przy obecnym permissywnym, „leseferycznym” sposobie myślenia jest – delikatnie mówiąc – nie najlepiej.

Sprawą jest analitycznie oczywistą, że do tolerancji naszej nie ma prawa odwoływać się żadna postać nietolerancji, żaden przejaw agresywności nie spowodowanej. Czymże jest agresja? Jest ona zamachem na osobę ludzką jako podmiot uprawnień podstawowych, na przynależny jej stan posiadania nie tylko w dziedzinie materialnej, ale przede wszystkim w dziedzinie życia wewnętrznego. I tak na przykład wydoskonalily się ostatnio znacznie i funkcjonują na szeroko zakrojonej skali techniki nachalnie i bezczelnie agresyw-

nego działania na instynkt seksualny, a w ślad za tym na osobowość ludzi, zwłaszcza młodych. Tolerowanie nietolerancji – nie stawiające sobie żadnych słusznych granic – sprzyja tej wzbierającej fali „nieobyczajnej obyczajowości” (pornografii, pornowizji, pornolabii, jako że skomercjalizowany ekshibicjonizm seksualny dociera do nas – jak wiadomo – różnymi drogami: wizualną, akustyczną czy na modłę wideofonii syntetyzującej oba te kanały). Cały ten trend ogólnie biorąc nie jest – jak również dobrze wiadomo – całkiem świeżej daty; od razu też pojawiły się reakcje obronne wobec tych „towarów” przeznaczonych na szeroki rynek. Już w roku 1957 w encyklice *Miranda prorsus* Pius XII pisał, powołując się na swe wcześniejsze przemówienia: „Jest prawdą, że duch naszych czasów [...] zbyt niechętny interwencji władz państwowych, wolałby kontrolę ze strony samej zainteresowanej tą sprawą społeczności [...]”. Niemniej „władze państwowe obowiązane są do czuwania [...] czujność ta jednak nie może bez ciężkiej winy [...] uchylać się przed obowiązkiem ochrony moralności publicznej, której trwałym fundamentem jest prawo naturalne, zapisane we wszystkich sercach”¹. Jan Paweł II objaśnia to zagadnienie bliżej w przemówieniu na audiencji ogólnej (29 IV 1981): „W tym punkcie nie można się zgodzić z wyrazicielami tak zwanego naturalizmu, którzy powołują się na prawo do «wszystkiego, co ludzkie», w dziełach sztuki, czy też wytworach artystycznej reprodukcji, twierdząc, że działają w ten sposób w imię realistycznej prawdy o człowieku. Właśnie bowiem ta prawda o człowieku – cała prawda o człowieku – domaga się uwzględnienia zarówno poczucia intymności ciała, jak też związanej z męskością i kobiecością tegoż ciała prawidłowości daru, w której odzwierciedla się tajemnica człowieka właściwa dla wewnętrznej struktury osoby”².

Z osobową ludzką godnością, nade wszystko zaś z wymogami „komunii osób” znajdującej ostateczne swe oparcie i ugruntowanie w trynitarnym życiu Boga, rozkładowe takie działanie – zwłaszcza zaś zaplanowana, „programowa” działalność tego typu – jest, rzecz jasna, nie do pogodzenia. Stanowi diametralne przeciwieństwo podstawowo pojętej miłości, przeciwieństwo tego nawet „minimum miłowania”, jakim jest ściśle rozumiana sprawiedliwość. Ilekroć więc autorzy (czy aktorzy) tego rodzaju akcji uciekają się pod ochronę prawa i z jego strony – czy ze strony opinii publicznej – domagają się dla siebie tolerancji, nie powinny te ich zabiegi inaczej być oceniane, jak tylko tak, jak zasługują: jako oszukańcze po prostu i perfidne.

Cywilizacja nasza nie jest – jak widzimy – ani ustabilizowana, ani jednostronna: wibrują w niej treści o genezie różnej, nie dające się sprowadzić do

¹ Pius XII, *Encyklika o kinematografii, radiu i telewizji*, w: *Kościół a kultura masowa*, Kraków 1984, s. 243.

² *Problem „pornografii” i „pornowizji”*, w: Jan Paweł II, *Nauczanie papieskie*, Poznań 1989, t. IV, cz 1, s. 511.

wspólnego aksjologicznego mianownika. W narodzie przecież nawet jednym i tym samym jedni np. optują za „siłą prawa”, inni za „prawem siły”. W każdym jednakże stylu życia – również w tym szeroko pojętym i polimorficznym – decyduje jego dominanta. Niemniej i ona przesuwa się powoli i zmienia swoją barwę od czasu do czasu. Trendom ewolucyjnym towarzyszy też z reguły jakaś dewolucja: „homo viator” popada w dewiacje – jest to cena, jaką płaci za przemiany mające ułatwić mu przewyciężanie przeciwności, zwłaszcza gdy tętno duchowego życia ulegnie w nim i wokół niego gorączkowemu przyspieszeniu. Prognozy nie są różowe i jeśli to prawda, że symptomy każdej nowej epoki ludzkich dziejów zaznaczają się najwcześniej w muzyce, to zaiste Afryka górą i biada nam, Europejczykom!

Poszkodowana jest w naszych czasach zwłaszcza młodzież: przedwcześnie wyemancypowana, lecz zdezorientowana zarazem, a jeśli do czegoś wdrożona, to właśnie do byle czego, hipnotyzowana chrapliwym porykiwaniem piosenkarzy i tygrysimi wrzaskami piosenkarek, ogarnięta zalewem pseudoartystycznej i pseudoliterackiej tandety, cukierkowo wycackanej na „zachodnią” modłę, lecz ordynarnej w gruncie rzeczy i bez gustu.

Różnorodność, obfitość propozycji „kulturalnych” nie wystarczy do sensownego zagospodarowania poszerzających się obszarów nie wypełnionego pracą czasu, zwłaszcza nie wyłoni sama z siebie żadnych idei twórczych mogących się stać naczelną inspiracją rozwoju kultury czy to na terenie ogólnocywilizacyjnym, czy to w zasięgu zwyczajów i obyczajów narodowych. Trzeba dobrego rozeznania w zakresie wartości, jakie nadają życiu ludzkiemu właściwy, pełny, formalnie „ludzki” kształt i sens, aby nie stracić głowy przy tym nader bogatym bufecie wolnoczasowej kultury, zastosować odpowiednią selekcję „dań” i zachować rozsądną powściągliwość. Zakłada to jednak trud poznawania siebie, własnych słabości i słabostek przede wszystkim. Nie wszystko w świecie jest z ducha Bożego, zdrowy zaś pluralizm nie polega na faworyzowaniu wszelkich propozycji dlatego tylko, że są różnicami; jest hodowaniem przysłowiowych „stu kwiatów”, ale nie pielęgnuje „kwiatów zła”.

Łaska Boża – dar Wcielonego Słowa – uświęca nie tylko naturę ludzką, lecz także kulturę, aliści nie wszystko w świecie kultury nadaje się do uświęcenia. „Różnić się pięknie” to rzecz cenna, pluralizm więc i owszem, ale jaki? Na każdym „rozdrożu miłości” trzeba się umieć znaleźć w sposób godny. Zwracając się do przedstawicieli świata uniwersyteckiego Jan Paweł II przypomina: „[...] związek Ewangelii z człowiekiem ma, od samych swych podstaw, charakter kulturotwórczy, ponieważ uczy kochać człowieka w jego człowieczeństwie i w jego szczególnej godności” (Madryt, 3 XI 1982)³.

³ *Wolność, współdziałanie, uniwersalność, służba człowiekowi – warunkami prawdziwego rozwoju kultury*, w: Jan Paweł II, *Wiara i kultura*, Rzym 1986, s. 189.

„Służba człowiekowi integralnemu” – człowiekowi nie odrywanemu prze-
myślnie i tendencyjnie od spraw ostatecznych – oto sama istota uniwersa-
lizmu. Jest to idea przewodnia, która – przy całym spluralizowaniu aksjolo-
gicznych preferencji i sposobów życia – winna być respektowana i kultywo-
wana zawsze, w imię powszechnego, a zarazem naczelnego dobra, transcen-
dującego ramy każdej konkretnej cywilizacji kultury.